

W kraju palm i słońca – 2

21 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

W drodze

Wyjeżdżamy z Bremerhaven na pełne morze. Po niebie przewalają się szare i ciemne chmury, pędzone wiatrem zachodnio-północnym, który kiedy niekiedy siecze zimnym, jesiennym deszczem. Wielkie fale uderzają o siebie z głuchym łoskotem, wyrzucając białą pianę. Okręt, niedostatecznie wyładowany, zaczyna tańcować, a wśród szumu morza, poświstu wiatru, nieustannego huku fal, warczenia maszyny parowej rozlega się gwizdawka oficera i marynarze, słaniając się na wszystkie strony, śpieszą po rozkazy.

Na pokładzie pusto, ciemno; czasem bryźnie fala, okręt się zakołysze, wiatr z deszczem zagra na wyciągniętych linach masztu i znów szum, zajadłe uderzenia o okręt i huczące zapasy z nawrotami fal. Służbisty steward, chociaż pasażerowie siedzą po kajutach, dzwoni zawzięcie znak podawania obiadu, który zaczyna się milczeniem, a z jadących parowcem siedzi przy stole sześciu gości. Kapitan niski, krępy kręci szpakowatą brodę, patrzy po pustych krzesłach i mówi z głośnym śmiechem:

– Dopiero siedem, a już chorzy; co będzie dalej?

W odpowiedzi śmieją się z tego dowcipu, jak przystało na podwładnych, starszy mechanik okrętowy i doktor, elegancki, ładnie ubrany blondyn.

– Co znaczy siedem? – pyta mały, poważny Niemiec, nauczyciel z San Paulo w Brazylii.

– Siedem!? – śmieje się wesoło kapitan. – To cyfra, potem idzie osiem... dziewięć...

– Następuje – dodaje mały profesor – dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzy...

– Dosyć! – przerywa mechanik. – Przekroczyliśmy granicę.

Po chwili dowiadujemy się, że w czasach, gdy żaglowce panowały na morzu, istniało obliczenie siły wiatru w cyfrach, zastosowanych do stopniowego usuwania żagli. Cyfra siedem oznacza wiatr „twardy”, osiem „burzliwie”, dziewięć „burza”, dziesięć „mocna burza”, jedenaście „twarda burza”, dwanaście „orkan” i związa się wszystkie żagle.

Nad ranem wiatr silniejszy, morze, jak okiem sięgnąć, bałwani się, tryskając białą pianą przesłaniającą widnokrąg; chwilami zdaje się, że gdzieś tam na nieboskłonie bieleje wielkie miasto, które, zaledwie dojrzane, znika sprzed oczu. Płyniemy głębokim wąwozem i tuż, tuż ruchome ściany mają nas nakryć, gdy okręt gwałtownym ruchem wspina się na grzbiet nadbiegającego bałwana, jakąś chwilę kołysze się, wpada w głąb dziobem, a śruba okrętowa huczy ze zgrzytem i świstem w powietrzu.

– Panie, ile mamy? – pyta oficera podróżny zaniepokojony.

– Osiem, a może będzie dziewięć – odpowiada, śpiesząc dalej.

Osiem trwa, okręt pod naporem rozhukanych fal jęczy, piszczy, trzeszczy, wyczuwa się uginanie wiązań, jakieś głucho trzaski w głębi okrętu, który to kładzie się bokiem, to wspina się w górę lub pada w głąb. W sali jadalnej dźwięczą szklanki i talerze, a przy drugim śniadaniu mimo przegródek i linii na stole przewracają się butelki i szklanki, zsuwają się talerze, ku rozweseleniu siedzących. Rozmowa pod wpływem burzliwej pogody obraca się tylko około wypadków nieszczęśliwych w czasie burz morskich. Kapitan razem z mechanikiem i starszym oficerem przesadzają się w opisach przygód na różnych morzach pod różnymi strefami. Tam złamany maszt pogruchotał ludzi, ówdzie pęknięcie śruby zabiło maszynistę i przedziurawiło okręt lub nabiegły bałwan zmiotł ludzi i rzeczy z pokładu; a

prawdopodobnie nie przez złośliwość, lecz z poczucia obowiązku służbowego zapytuje kapitan:

– Czytaliście, panowie, przepisy ratunkowe? – i wskazuje wywieszone za szkłem rozporządzenia.

Zaczyna być duszno w sali, może nie tyle z powodu zamknięcia wszystkich okien, ile tej rozmowy.

Morze w swym gniewie jest wspaniałe, wre szalonym życiem i ruchem; wznoszą się to czarne, to śnieżne wzgórza, olbrzymie fale toczą walkę zapaśniczą na śmierć, tłuką o siebie, wałą, gruchoczą, przewalają się, zwyciężają, giną, zmartwychwstają i ma się wrażenie, że ta walka toczy się pomiędzy żyjącymi i czującymi potęgami, że to nie płyn, nie woda, lecz coś twardego, giętkiego, silnego, a ciągłość tego szalonego ruchu wywołuje wrażenie czegoś trwałego, odwiecznego, nigdy się niekończącego.

Mimo tej walki na morzu, huku, trzasku, łomotu fal rozbijanych, pogwizdywania przeciągłego lin okrętowych, przechylania się, wznoszenia i opadania okrętu, nie ma się wrażenia strachu, obawy, przerażenia i po chwilowym rozdrażnieniu następuje apatyczna rezygnacja, poczucie zupełnej bezsilności wobec ogromu sił morza, i patrzy się spokojnie z pewnym zaciekawieniem to na wysiłki nadmierne okrętu, to na ślepą wściekłość wzburzonych toni.

A emigranci?

Po schodach czarnych, oślizłych wchodzi się do ciemnawej przestrzeni, oświetlonej trzema okrągłymi oknami, zamkniętymi z powodu burzy.

To trzecia klasa, zwana Zwischendeck. Z prawej i lewej strony wznoszą się rusztowania ze sztab żelaznych, podzielone na cztery dolne i cztery górne łóżka. Na siennikach, pod kocami, leżą emigranci. Jest tu mroczno, duszno, brudno, chorują wszyscy, mężczyźni klną, kobiety jęczą, dzieci płaczą, a dwaj

stewardzi, przeznaczeni do usługi, rozmawiają przy schodach spokojnie, jak gdyby nie słyszeli i nie widzieli chorujących.

Po dwóch dniach morze zaczyna się uspokajać, zawijamy do Antwerpii, dla nabrania ładunku i pasażerów.

W podróży z Antwerpii na Atlantyk pogoda sprzyja, zaroilo się też na pokładzie w tyle okrętu. Kobiety blade, zmęczone, nieustannie nachodzą doktora, żądając natarczywie środka na mdłości i ból głowy: „bo cała choroba jest z tego jedzenia na okręcie, ani to chleba (żytniego), ani kwasu, pożał się Boże takiej strawy”, narzekają na różne tony, przypatrując się w przerwach skalistym wysepkiem Holandii, biało-kredowym brzegom Anglii z wyniosłym Doverem i zielonym wybrzeżom Francji. Pomędzy starszymi emigrantami rej wodzi Piotr Stefański z Galicji, uczestnik gorączki emigracyjnej w roku 1895, który wróciwszy z Brazylii, po trzech latach pobytu w kraju jedzie znów do Parany. Chłop wysoki, silny, rozprawia dużo o Brazylii, objaśnia, radzi, tłumaczy i trzyma się kompanii szewca Małowskiego, którego kosztem jedzie, obiecawszy za tę cenę połowę swego gruntu w Paranie.

– I wróciliście do Galicji swoim kosztem? Sami?

– Ee, to długa historia. Mówi mi mój kmotr spod Przemyśla, tam, w Brazylii, że zarobił w Bremie 800 guldenów...

– Tak dużo? I jakim sposobem?

– Zarobił lekko, bo to Karesch i Stotzky, a także Missler, płacili za każdego człowieka po pięć papierków. Co który chłop przyjechał od niego niby od mego kmotra, do Bremy, liczyło się kmotrowi pięć papierków. Skusiło i mnie, zostawiłem żonę na gruncie i przyjechaliśmy we dwóch z Brazylii do Bremy, no i do Galicji po ludzi; mnie znają, zem nie oszukaniec, i zebrałem ludzi...

Wzdycha i smutnie kiwa głową.

– Cóż dalej? Przywieźliście?

– Iii, nie! Zwiedziało się o mnie starosta, a że wyszedł rozkaz, aby nie puszczać ludzi do Brazylii... to i biedowałem do tej pory.

– A żona? Dzieci?

– Pisała mu żona – dodaje z uśmiechem przysłuchujący się szewc Małowski – że kiedy nie szanował, co mu Bóg dał w Brazylii, niech sobie sam radzi.

W ciągu podróży opowiedział dalsze szczegóły umowy ze wzmiankowanymi agentami. Płacono dostawcom, czy naganiaczom, po pięć guldenów za każdą dorosłą osobę, wywożono ich podobno do Ameryki, ale on tego dobrze nie wie dokąd. Być może, iż owi męczennicy z Haiti i inni, po plantacjach cierpiący, są owi opłaceni przez agentów chłopci, gdyż nieświadomi nazw miejscowości, warunków, pojmujący Amerykę jako kraj za morzem mogli być kontraktowani, wywożeni i zaprzędawani plantatorom tak niemieckim, jak i obcym. I ten ohydny handel ludźmi trwa po dziś dzień na tych samych warunkach, nie tylko w Bremie, lecz i w Hamburgu, zostaje pod opieką rządu i senatów wolnych miast!

Na pytania, kto i co ich skłoniło do emigracji, odpowiadają ogólnikowo, narzekają na podatki, lichwę, ucisk, a ci z miast i miasteczek dodają w dumnym samopoczuciu: „Już my wiemy, dlaczego jedziemy!” i patrzą porozumiewawczo na siebie.

Minęliśmy Zatokę Biskajską.

Jak daleko sięgnąć okiem, wokoło ciemnobłękitne fale Atlantyku, czasem gdzieś w oddali przemknie biały żaglowiec, zaczernieje parowiec z długą smugą dymu, nadbiegła chmura odbija się na ruchliwej powierzchni morza, zaznaczy się ciemnym pasem wśród błyskotliwych fal w słońcu, zaigrają delfiny lub przefruną ryby latające; a zresztą spokój na bezmiarze przepięknych wód, dogrzewające słońce, błękit nieba

i nieustrudzony okręt, pędzony na odległy, bezkresny Zachód.

Emigranci dniują i nocują na pokładzie, zwierzają się z przeszłości, a najczęściej mówią z zapałem o promiennej przyszłości.

Była południowa godzina, promienie słoneczne odbijały się świetlano od lekkich, niebieskich fal, poruszanych chłodzącym wiatrem z Afryki. Pod rozpiętym płótnem ujrzałem skupioną gromadkę emigrantów; podszedłem bliżej... Jeden z młodych czytał o prawach i przywilejach emigrantów do Brazylii, o nadaniu obowiązkowym ziemi razem z domem i narzędziami... Drugi, przerywając poprzednikowi, czyta głośniej o diamentach, złocie, srebrze i miedzi w Paranie... Nie znając stosunków Brazylii i Parany, wierząc w prawdomówność podróżnika, którego książkę Opis stanu Parany emigranci właśnie czytali, tylko z pewną nieśmiałością przestrzegałem emigrantów przed zbytkiem słodkich nadziei...

Ci jednak wszelkie przestrogi i lekkie wątpliwości uważali jako osobistą obrazę, zżymali się, mówiąc z drwinami:

– Pan nie był w Brazylii, prawda? A ten pan był i widział, więc kto ma rację, on czy pan?

To ich obrażanie się na uwagi krytyczne łatwo zrozumieć, każde bowiem przebudzenie z rozkoszy jest przecież cierpieniem, a nikt nie chce cierpieć.

– A nie tęskno wam, matko, po córce?

– Żle jej tam z mężem nie jest, a jak tylko się rozwiem i rozejrzę, pošlę pieniądze, to i zaraz przyjadą – odpowiada, pełna wiary w szczęśliwą przyszłość.

Po kraju, po swoich pozostałych nikt nie płacze, nie tęskni, nie wspomina... Żyją i oddychają jasną przyszłością. W Brazylii widzą zbawienie, szczęście, bogactwo. Jedni marzą o bryłach złota i wielkich diamentach: „bo to za jeden kamień można mieć

krocie", starsi prawią o ziemi z lasem, kobiety o dostatkach i wygodach...

Jedziemy dalej wśród nieustannej pogody. Okręt zawija do Wysp Kanaryjskich; bieli się śniegiem szczyt Teneryfy, zielenią się wybrzeża i zajeżdżamy do Portu Las Palmas, miasta na wyspie Gran Canaria. Tylko zbyt wysoka cena łódki odstrasza emigrantów, a są już stęsknieni do ziemi. Od licznych przekupniów nadbiegłych na okręt kupują za tanie pieniądze owoce i papierosy, a w podziw wprawiają ich chłopaki nurkujący za każdą monetą. Samo miasto, przeważnie z parterowymi domami i z okiennicami szczelnie zamkniętymi, brudne, krzykliwe, handlowe, robi niemiłe wrażenie, którego nie zaciera dość obszerny kościół z XVII w., gdzie chwalą się z posiadania śpiewnika liturgicznego na pergaminie z ładnymi inicjałami.

Bliżej równika upały są nieznośne, duszno w kajucie, w sali; żaden wietrzyk nie porusza lśniącej w słońcu tafli morza, które zdaje się, że usnęło i zaledwie dostrzegalnie podnosi się drobną falą, aby znów usnąć. Gorąco trwa i w dzień, i w nocy; grzeją rozpieczone ściany okrętu, podłoga na pokładzie, rury, wentylatory, wszystko, a powtarzająca się rada nauczyciela z San Paulo: „Kommen Sie auf Bord ein wenig frisch Luft schnappen!" wywołuje śmiechy i żarty całego towarzystwa, raczącego się lichym winem reńskim, podawanym jednak z lodem. Woda w morzu ma 20° ciepła, a w wannie kąpielowej dochodzi do 30°, zamiast odświeżyć osłabia i przy wyjściu ma się wrażenie, że z waru weszło się w ukrop. Pot ścieka kroplami, każdy włos mokry, całe ciało oślizłe, gorące, niemiłe. Korzystając z braku pań jadących, chodzimy możliwie lekko ubrani. Zaprzeształo wszelkich gier, półmiski niemal nietknięte schodzą ze stołu; wszystkich pali pragnienie.

U emigrantów narzekania na gorąco, nudy, brak zajęcia; kobiety wymyślają sobie różne dolegliwości, nachodzą doktora, byle mieć rozmaitość, rozrywkę. Tylko Portugalczycy, którzy wsiedli w Las Palmas, weseli są, a ich towarzyszek wieczorami tańczą i śpiewają. Nasi w zabawie nie biorą udziału; zmęczeni, znękan

gorącem, ożywiają się wieczorami to fosforescencją morza, to znów spoglądają na niebo, zdziwieni zniknięciem Niedźwiedzicy i zjawieniem się Krzyża Południowego, który ani tak pięknie, ani tak jasno nie świeci, jak nasz Wóz.

Za równikiem zaczyna wiać wiatr chłodny; ożywili się wszyscy, poweseleli, i znów rozmowy, dopytywania się, tęsknota do Brazylii.

– A kiedy? Czy daleko? Może jutro?

Miało się ku zachodowi; słońce, które na morzu przy pogodzie zapada jak czerwono żarząca się kula, bez blasków i promieni, dziś schowało się za chmury na kresach widnokręgu i rozpoczęła się cudowna gra światła, wszystkie odcienie barwy czerwonej, od jaskrawopurpurowej do ciemnoamarantowej, zabarwiły zachód, poprzedzielane szerokimi pasami seledynowymi... Spośród tych blasków, barw, światła, zarysowały się zygzakowate, fioletowe szczyty gór...

– Brazylia!

Słowo to powtarzali ze drżeniem rozkosznej nadziei wszyscy emigranci, matki podnosiły dzieci, młodzi stali jak zaczarowani, bo oto przed nimi kraj złota, szczęścia, rozkoszy...

– Brazylia!!!

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”, Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)